

# ROZDZIAŁ I

---

## Co by tu zrobić, żeby było ciekawiej?

---

Miasto, w którym mieszkają bohaterowie tej książki, znajduje się w dolinie. Po stronie wschodniej i zachodniej otaczają je łagodne wzgórza, na zboczach których widnieją pola uprawne i rzadkie zagajniki. W swojej dolnej części zbrocza te coraz śmiej atakowane są przez obiekty rozwijającego się miasta: budynki mieszkalne i zakłady przemysłowe. Jednak tym, co najbardziej przyciąga uwagę, są górujące nad doliną po stronie wschodniej ruiny średniowiecznego zamku z sześciokątną basztą i resztkami murów obronnych.

Gdyby ktoś patrzył na to miasto ze szczytu wzgórza nad doliną, widziałby rozciągniętą z północy na południe sieć ulic i zabudowań, przeciętych wąską wstęgą niewielkiej rzeki. Z daleka widoczne byłyby jej obmurowane brzegi, aby w porze wiosennej, gdy niebezpiecznie przybiera, nie zagrażała już, jak dawniej, podtopieniem okolicznych budynków. W środkowej części doliny, tam gdzie sieć zabudowań ulega znacznemu wybrzuszeniu, widoczny byłby rozległy rynek, pokryty ozdobną kostką brukową i otoczony renesansowymi kamienicami, z wyrastającą ponad miasto wieżą kościoła parafialnego. W panoramie miasta widać byłoby także inne wieże kościelne. Jedna z nich z pewnością zwróciłaby uwagę

obserwatora swoją smukłością i ostrością iglicy – to część neogotyckiego kościoła ewangelickiego, który jest nieczynny i zamknięty od wielu lat. Można byłoby także zwrócić uwagę, że stara zabudowa miasta skupiona jest w zachodniej i środkowej części doliny. Z jakiegoś powodu nowe osiedla mieszkaniowe wybudowano wyłącznie u stóp wschodniego zbocza wzniesienia.

Położenie miasta sprawia, że ów ktoś, patrzący nań z wysoko i z oddalenia, niewątpliwie pozostawałby pod jego urokiem. To wrażenie mogłoby jednak doznać pewnego uszczerbku, gdyby schodząc i zagłębiając się w ulice, zobaczył odpadające tynki domów wymagających remontu i gdzieniedzie wirujące na wietrze śmieci.

W tym mieście jest wiele szkół, wśród nich kilka podstawowych. W jednej z nich klasa VB skończyła właśnie lekcje. Uczniowie wyrwani z lekcyjnego letargu, hałaśliwie, z przesadną energią pakowali swoje plecaki i biegli do szatni albo do świetlicy. Marek i Kuba opuścili klasę jako ostatni. Na osłabienie ich zwykłej w momencie zakończenia lekcji aktywności wpływ miała niewątpliwie konstatacja, do której obaj doszli w bezpiecznej fazie lekcji matematyki, to jest wtedy, gdy nauczyciel już nie nękał uczniów pytaniami, tylko tłumaczył nowy temat. Otóż obaj chłopcy zgodnie stwierdzili, że ich życie jest nad wyraz monotonne i koniecznie trzeba coś zrobić, aby je urozmaicić. Na ustalenie, co by to miało być, zabrakło już jednak czasu, bo lekcja się skończyła. Problem, który sobie zadali do rozwiązania, dręczył ich jednak nadal.

Pograżeni w myślach, wyszli na korytarz z niezwykłą u nich powagą i powolnością. Ich dostojne zachowanie tak dalece różniło się od krzykliwości innych użytkowników korytarza, że ci ostatni bezwiednie zaczęli im ustępować z drogi, co zwykli czynić tylko w przypadku nauczycieli. Chłopcy opuścili budynek szkoły i wyszli na ulicę. Był mroźny, pochmurny dzień. W powietrzu czuć było dziwną mieszaninę zimy i wiosny: łagodny powiew ciepłego wiatru, chłodzony tchnieniem topniejącej zmarzliny. Ludzie na ulicy szli w porozpinanych wierzchnich okryciach, po płocie przebiegł spłoszony kot.

– Idziemy na skarpe – postanowił Marek, a Kuba ochoczo skinął głową.

Ten prosty cel pozwolił chłopcom uwolnić się od ciężaru życiowych dylematów i powrócić do stanu właściwej im spontaniczności. Na wszelki wypadek nie włączyli swoich komórek, których zakaz używania obowiązywał w szkole. Nie chcieli bowiem, aby nagły telefon od rodziców pokrzyżował im plany. Decyzja o pójściu na skarpe mogłaby wydać się dziwna komuś, kto by wiedział, że wspomniana skarpa znajduje się po przeciwnej stronie doliny i aby się do niej dostać, trzeba przeciąć w poprzek miasto i wdrapać się na przeciwległe wzgórze. To co najmniej godzina drogi w jedną stronę. Ale chłopcy, gdy chcieli dać upust swojej energii lub mieli coś do przemyślenia, właśnie tam się udawali. Tym bardziej dzisiaj, gdy obydwa te powody kierowały ich zachowaniem.

Zamiast więc skręcić w lewo, w stronę swoich domów, zwrócili się w całkiem przeciwnym kierunku. Szli szybko, bo w dół doliny nogi ich same niosły. Kiedy dochodzili do rzeki, drogę przeciął im bezdomny Edek, mężczyzna w nieokreślonym wieku, dobrze znany mieszkańcom miasta, ponieważ w przeciwieństwie do innych ludzi pozbawionych stałego dachu nad głową, którzy – umiłowawszy włóczęgę – pojawiali się w mieście tylko od czasu do czasu, ten był z miastem związany na stałe. Można go było spotkać codziennie, gdy penetrował śmietniki, wystawał pod siedzibą Komitetu Pomocy Społecznej i Caritasu, wędrował gdzieś, w sobie tylko wiadomym celu, lub – w zależności od pogody – spał na ławce w parku albo na dworcu. Teraz szedł pstrokato ubrany, w czerwonej narciarskiej czapce z pomponem, w starej, granatowej kurtce, zbyt małej dla niego, w zielonych spodniach od dresu, wpuszczonych w długie skarpety wystające z brudnych, rozchodzonych adidasów. Na plecy miał zarzuconą nieodłączną ciemną torbę z brezentu, której kolor pod grubą warstwą brudu pozostawał nieodgadniony.

– Dzień dobry, Edek – rzucił szyderczo Marek.

Edek nie spojrzął na chłopców, skulił się nieco i przyspieszył kroku.

– Daj mu spokój, po co go zaczepiasz? – skarcił go Kuba.

– Jestem grzeczny. Co w tym złego? – Marek uśmiechnął się drwiąco.

Chłopcy weszli na most. Tu obowiązkowo zatrzymali się na dłużej. Wisząc na balustradzie, wpatrywali się jakiś czas w nurt rzeki, którą płynęły wiosenne śmieci uwolnione spod lodu. Potem poszukali kamyków i bombardowali nimi upatrzone cele na wodzie. Za każdym razem, gdy udało im się trafić, wydawali głośne okrzyki tryumfu.

Po przejściu na drugą stronę rzeki szli pewien czas wąskimi uliczkami przedmieścia, wśród ogrodów i coraz rzadszej zabudowy, aż poczuli, że idzie im się coraz trudniej, bo droga się wznosi. Ulica zamieniła się w ścieżkę, którą wchodzili coraz wyżej na zbocze wzgórza zamykającego dolinę od zachodu. Miasto pozostało za nimi w tyle. Jakiś czas wspinali się, a potem ścieżka rozwidlała się: jedna odnoga prowadziła na grzbiet wzgórza rzadko porośniętego karłowatymi sosnami, a druga wiodła w poprzek zbocza. Marek i Kuba poszli tą drugą, między brunatnymi kępami krzaków, przecinając pole i łąkę, które o tej porze roku niewiele się od siebie różniły odmianami szarości. W pewnym miejscu wąska ścieżka rozrastała się w półkolistą, kilkunastometrową przestrzeń, która wyglądała tak, jakby ktoś przylepił do zbocza wzgórza gigantyczną gumę do żucia. To była właśnie owa skarpa, do której zmierzali chłopcy. Jej krawędź opadała stromo do zbocza, ale nie była zbyt wysoka. Chłopcy lubili skakać z tej krawędzi i nabrawszy w ten sposób rozpędu, gnać potem na złamanie karku w dół, do miasta.

Teraz przysiedli jak zwykle na skraju skarpy i spojrzeli na swoje miasto. Ujrzeni znajomy widok: zamek na przeciwległym wzgórzu, zarys ulic z przesuwającymi się samochodami, które z tej odległości wyglądały jak zabawki, pociąg ruszający ze stacji. Nieco w lewo, już trochę wyżej, na przeciwstoku, zobaczyli swoją szkołę, skąd niedawno wyszli. Nie mogli zobaczyć swoich domów, które zasłaniały drzewa i inne budynki. Całkiem w lewo, tam, gdzie miasto już się kończyło, a dolina przechodziła w rozległą równinę, widać było cmentarz – rozległą kępę drzew gęsto przetykaną szarością pomników. Nierozbudzona po zimie przyroda, pochmurne niebo

i ogólny nastrój sprawiały, że widok miasta nie był dla chłopców zbyt porywający.

Marek powiódł wzrokiem po okolicy i z westchnieniem mruknął:

– Straszna dziura to nasze miasto.

– To prawda. Nic się tu ciekawego nie dzieje, jest tak zwyczajnie. A na świecie, gdzieś daleko stąd, jest tyle tajemnic: ukryty w dżungli skarb Inków, potwór w szkockim jeziorze, yeti w Himalajach... – Kuba mówił to z goryczą.

Marek spojrział na niego z nagłym błyskiem w oczach:

– Nasze miasto jest małe, rzeka płytka, a wzgórza niewysokie, żaden potwór albo yeti by się tu nie ukrył, ale tajemnic i u nas nie brakuje.

– Jakich tajemnic? – Kuba, zdziwiony, przestał spychać patykiem grudki ziemi, które wąskimi strumyczkami osuwały się po zboczach skarpy, zatrzymując się na kępach zeszłorocznej trawy.

– No choćby jęki ducha w zamkowej baszcie, msze odprawiane przez czarnego pastora w kościele ewangelickim, mrugający zarządca carski na cmentarzu... Czy to mało?

– Myślisz, że to wszystko prawda? Chyba to się tylko tak mówi... – Kuba powiedział to jakoś mało zdecydowanie.

– Nie wiem, czy to prawda – Marek wyduł wargi. – Właśnie na tym polega tajemnica. Nie chciałbyś tego sprawdzić?

– No pewnie, że bym chciał, ale niby jak? – Kuba odrzucił patyk i z zainteresowaniem patrzył na kolegę. Obaj czuli, że są o krok od znalezienia leku na uświadomioną sobie dzisiaj monotonię życia.

– Myślę, że powinniśmy zacząć od utworzenia jakiegoś związku albo kółka... Nie, kółko odpada, to zbyt przypomina szkołę. Zresztą związek też mi się nie podoba. – Marek myślał intensywnie, kopiąc piętą w wystający z ziemi kamień. – O, już wiem – ożywił się – to może być klub.

– Kluby są sportowe – sceptycznie zauważył Kuba.

– Nie tylko. Słyszałem o Klubie Odkrywców, gdzieś czytałem o tym. Moglibyśmy założyć coś takiego.

– Klub Odkrywców?

– No nie, musimy wymyślić własną nazwę.  
– Może Klub Odkrywców Tajemnic? – zaproponował Kuba.  
– Przecież te tajemnice już są. My chcemy je wyjaśniać, a nie odkrywać.

– No to jak? Klub Wyjaśniaczy Tajemnic?

– Nie, wyjaśniaczy to jakoś głupio brzmi, chyba nie ma takiego słowa. Czekaj, czekaj – bruzda na czole Marka pogłębiała się – a może tropicielei tajemnic? Tak, to będzie najlepiej: Klub Tropicielei Tajemnic, w skrócie KTT! – Marek spojrział tryumfalnie na Kubę, w którego oczach dostrzegł pełną aprobatę swojego pomysłu.

Chłopcy siedzieli chwilę w milczeniu, delektując się swoim postanowieniem. Czuli się tak, jakby już wytropili jakąś tajemnicę. Wiatr rozrzedził chmury i miasto u ich stóp nagle pojaśniało, ulice i zabudowania przestały być jednolicie szare, zaznaczyły się wcześniej niewidoczne szczegóły, zaśniły dachówki. W słabych promieniach marcowego słońca, z trudem wyzierającego zza chmur, nawet cementarz na przeciwległym stoku zajaśniał wesoło bielą pomników, które jeszcze przed chwilą wydawały się szare i smutne. To ożywienie krajobrazu podziało krzepiąco na Marka i Kubę, zdawało się potwierdzać sensowność planowanego przedsięwzięcia i zachęcać do działania.

Rozochocony Kuba klasnął radośnie w dłonie.

– To co będziemy robić w tym klubie?

Marek uznał, że trzeba trochę utemperować kolegę, tym bardziej, że sam chciałby znać odpowiedź na to pytanie.

– Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Trzeba pomyśleć, ale najpierw musimy się jakoś zorganizować. Trzeba ustalić, kto będzie przewodniczącym, kogo do tego klubu przyjmiemy, gdzie będziemy się spotykać, jaki będzie nasz znak, trzeba zrobić legitymacje. . .

– Marek mówił to spokojnym głosem człowieka doświadczonego, panującego nad sytuacją. Już choćby z tego powodu sprawa przewodniczącego klubu wydawała się przesądzona.

Tak też to odebrał Kuba, który nieco zmarkotniał, słysząc, jak wiele ich jeszcze dzieli od wyruszenia na trop tajemnic.